

Siedem lekcji z polskiej transformacji¹

Powszechnie przyjmuje się, że **posocjalistyczna transformacja zapoczątkowana została w Polsce**. Jest to prawdą, ale po części tylko. Choć różne cząstkowe procesy prowadzące do tej wielkiej zmiany z największą intensywnością przebiegały właśnie w Polsce w latach 80, to coś działo się także w innych krajach regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Również na Węgrzech czy też w byłej Czechosłowacji dały się zauważyć symptomy nadchodzących przemian. Jednakże to Polska przecierała im szlak i wiele z tych zmian dokonała jako pierwsza, a to nie było łatwe.

Powszechnie też przyjmuje się, że **posocjalistyczna transformacja zapoczątkowana została w 1989 roku**, kiedy wprawdzie w Polsce właśnie, a potem wskutek reakcji łańcuchowej w całym regionie „upadł realny socjalizm” albo – jak wolą inni – „obalony został komunizm”.

Czy poprzedni system, panujący w tej części Europy oraz na olbrzymich obszarach Azji przez kilka dziesięcioleci, tak po prostu **upadł** wskutek braku dostatecznej zdolności przystosowania się do zmieniających się wewnętrznych i zewnętrznych warunków, czy też może raczej został **obalony** – i przez kogo, przez siły wewnętrzne li tylko, czy też w wyniku presji z zewnątrz? – to osobne zagadnienie nadal wzbudzające kontrowersje. Może Historii uda się je jednoznacznie rozwikłać, choć wątpię. System realnego socjalizmu bowiem zarówno upadł, jak i został obalony. Jedno nie przeczy drugiemu. Faktem dla nas niezbitym jest to, że Historia zapisuje ten właśnie rok – **rok 1989** – jako zwrotny w dziejach ludzkości. Jeśli nawet nie on zapoczątkował wielką zmianę, bo jej korzenie tkwiły w reformach realizowanych już w latach wcześniejszych – zwłaszcza w Polsce i na Węgrzech, a także w byłej Jugosławii – to przesądził o wielkim zwrocie.

Wielki posocjalistyczny zwrot polegał na zarzuceniu wcześniejszego reformowania starego systemu. Nieudane okazały się próby podnoszenia poziomu międzynarodowej konkurencyjności gospodarki i nadania realnemu socjalizmowi bardziej „ludzkiego oblicza”. Miast dalej „reformować” to, co okazało się mało reformowalne, podjęto wysiłek odejścia od poprzedniego systemu i w jego miejsce zbudowania nowego. Tym razem miała to być kapitalistyczna gospodarka rynkowa. Też – co oczywiste – z „ludzkim obliczem”.

Proces ten trwa już 15 lat. W tym czasie kraje posocjalistyczne przechodziły przez różne fazy i etapy wzlotów i upadków, choć – niestety – dominowały te ostatnie. Pomijając Chiny – kraj największego ekonomicznego sukcesu we współczesnym świecie (a także zmierzający podobną drogą Wietnam) – w większości spośród 27 krajów Europy Środkowo-Wschodniej i byłego Związku Radzieckiego, zamieszkałych przez ponad 400 milionów ludzi, poziom produkcji i konsumpcji w roku 2004 był wciąż mniejszy aniżeli półtorej dekady temu. Statystyki międzynarodowe wykazują niezbicie, że **w krajach**

¹ Artykuł powstał w oparciu o rozdział wprowadzający do nowej książki pod redakcją naukową profesora Grzegorz W. Kołodko pt. „The Polish Miracle. What Emerging Markets Can Learn From It?” Książka ukazuje się w języku angielskim nakładem wydawnictwa Ashgate (www.ashgate.com) na początku 2005 roku. Autor – profesor zwyczajny nauk ekonomicznych – wykłada w Wyższej Szkole Przedsiębiorczości i Zarządzania im. Leona Koźmińskiego w Warszawie (www.kozminski.edu.pl). Jest Dyrektorem Centrum Badawczego TIGER (www.tiger.edu.pl). W latach 1994-97 jako wicepremier i minister finansów RP doprowadził do członkostwa Polski w OECD, a pełniąc tę funkcję ponownie w latach 2002-03 odegrał kluczową rolę w końcowej fazie przystępowania Polski do Unii Europejskiej.

posocjalistycznej transformacji ilość ludzi zepchniętych na margines wykluczenia społecznego wyraźnie wzrosła. Odczuwalnie także zwiększył się zakres ubóstwa i nędzy, a w kilku przypadkach skrócił się przeciętny okres życia. Wszędzie – choć znowu na odmienną skalę – wzrosły nierówności w podziale dochodów, czasami w sposób skokowy. Dla większości społeczeństw regionu poradzieckiego i Bałkanów gorszy obecnie niż u zarania transformacji jest tzw. indeks rozwoju społecznego, HDI (ang. *Human Development Index*) szacowany przez UNDP (*United Nations Development Program*).

Zrozumiałe, że sytuacja wygląda różnie w poszczególnych krajach, a w ich ramach także w różnych regionach. Nawet w kraju tak, wydawałoby się, homogenicznym jak Polska poziom PKB na mieszkańca w najbogatszym regionie (stołeczna Warszawa) jest około sześciokrotnie większy niż w regionie najbiedniejszym (Zamojszczyzna). Na skalę międzynarodową w obrębie krajów posocjalistycznych różnice te są jeszcze większe. Jest to zarówno rezultat spuścizny z przeszłości – w tym także tej z epoki centralnie planowanej gospodarki socjalistycznej – jak i zwłaszcza wynik przebiegu transformacji ustrojowej podczas kilkunastu ostatnich lat. Jedne kraje radziły sobie w tym lepiej, inne gorzej. Dość powszechnie przyjmuje się, że Polska należy do tej pierwszej grupy. Niektórzy są wręcz skłonni mówić o „polskim cudzie gospodarczym”...

Zostawiając cuda tam, gdzie one się przynależą, warto zadać jednak pytanie, **czy Polska jest krajem sukcesu gospodarczego?** To zależy, jak ten sukces mierzyć. Po 15 latach transformacji PKB na mieszkańca jest o około 40 procent wyższy. To znikomy postęp nie tylko w porównaniu z Chinami, ale także w stosunku do Zachodniej Europy czy USA, a więc krajów najbogatszych, które w tym czasie rozwijały się, przeciętnie biorąc, szybciej dystansując się jeszcze bardziej od Polski i innych krajów posocjalistycznych. Zarazem to największa skala wzrostu produkcji pośród wszystkich transformowanych gospodarek. Pod tym zatem kątem Polska osiągnęła więcej niż jakikolwiek inny kraj regionu. Przynajmniej dotychczas, bo o prawdziwym sukcesie (bądź jego braku) będziemy mogli mówić po upływie większego niż półtorej dekady okresu. Tu trzeba perspektywy pokoleń, aby wydać ostateczny werdykt.

Nie ulega jednak wątpliwości, że pod wieloma względami – no bo z pewnością nie pod każdym – **Polska radzi sobie z wyzwaniem wielkiej przemiany lepiej niż inne kraje.** To musi skłaniać do refleksji, musi zastanawiać i prowokować do porównań w czasie i przestrzeni. Wiele już na ten temat powiedziano, sporo kart pozostaje jeszcze do odkrycia. Otóż już nawet powierzchowna analiza szczególnego polskiego przypadku pokazuje, że lepsze wskaźniki makroekonomiczne są wypadkową dwu zdarzeń.

Po pierwsze, **najkrótszej wśród wszystkich krajów transformacyjnej recesji.** Trwała ona tylko trzy lata – od połowy roku 1989 do połowy 1992 – podczas gdy w skrajnym przypadku Ukrainy przerodziła się w **wielką transformacyjną depresję** i ciągnęła się przez kolejne 10 lat. Działo się tak ze względu nie tyle na dobrą politykę na początku polskiej transformacji, gdyż tej akurat wskutek niedorzecznej koncepcji „szokowej terapii” brakowało, ale ze względu na pozytywne następstwa rynkowych reform realizowanych wcześniej, jeszcze na etapie socjalizmu. I to jest pierwsza lekcja płynąca z polskich doświadczeń okresu wielkiej zmiany.

LEKCJA PIERWSZA

Reformy gospodarcze uelastyczniające działanie rynków, choćby cząstkowo tylko przyczyniające się do budowy instytucji niezbędnych dla sprawnego funkcjonowania i rozwoju gospodarki rynkowej, zawsze pomagają, gdy w ślad za nimi dokonywany jest większy i głębszy zwrot strukturalny. Nawet jeśli z jakichś względów – na przykład politycznych czy kulturowych – nie da się zmienić wiele na raz, to warto zmieniać po

trochu, bo z czasem może to przynieść pożądane skutki. Oczywiście, z tego faktu bynajmniej nie wynika, że później te częściowe zmiany są doceniane. Najczęściej nie, ale nie zmienia to faktu, że miały one miejsce i okazują się pożyteczne dla długotrwałego rozwoju. W sensie politycznym kto inny zasiał, a kto inny zbiera plony, ale najważniejszy jest fakt, że dla kraju – dla społeczeństwa, gospodarki i państwa – jest to korzystne.

Po drugie, minione 15 lat polskich przemian to okres niejednorodny nie tylko z punktu widzenia dynamiki gospodarczej, ale także pod względem podziału owoców wzrostu gospodarczego i przyczyniającej się do ich szybszego niż gdzie indziej pojawiania się **budowy instytucji**. Rzucają się w oczy cztery wyraźnie różne epizody.

1. Początkowy okres „szoku bez terapii” w latach 1989-93, kiedy to wskutek znaczącego przestrzelenia polityki stabilizacyjnej, niedoceniaenia znaczenia budowy nowych instytucji gospodarki rynkowej, zbyt gwałtownej i za daleko posuniętej liberalizacji handlu oraz lekceważenia prorozwojowych funkcji państwa w gospodarce koszty transformacji były dużo większe niż te nie do uniknięcia (i niż zakładano to w oficjalnych dokumentach), natomiast efekty było znacznie mniejsze od oczekiwanych (i możliwych do osiągnięcia). Było to **jaskrawe działanie wbrew podstawowym zasadom prakseologii, kiedy to dla osiągnięcia mniejszych niż możliwe do uzyskania efektów poniesiono większe niż konieczne koszty**. W rezultacie skala transformacyjnej recesji była daleko większa niż miałoby to miejsce przy właściwej polityce rządu, pojawiło się masowe bezrobocie, nie udało się sprowadzić inflacji do niskiego, jednocyfrowego poziomu i zaczął narastać strukturalny deficyt budżetowy.

2. „Strategia dla Polski” lat 1994-97, podczas których gospodarka została istotnie wzmocniona instytucjonalnie, co zaowocowało stowarzyszeniem z Unią Europejską w 1994 roku i przystąpieniem do OECD w roku 1996, a nade wszystko została odpowiednią polityką reform strukturalnych i rozwoju wprowadzona na ścieżkę dynamicznego wzrostu. Podczas tego czterolecia PKB na mieszkańca zwiększał się w średnim rocznym tempie 6,4 procent i w sumie wzrósł aż o 28 procent, co na tle przyrostu o 40 procent w trakcie wszystkich 15 posocjalistycznych lat jest imponujące. Zahamowane też zostało narastanie nierówności w podziale dochodów, co odzwierciedla się w stabilizacji współczynnika Giniego w latach 1996-97 na poziomie około 33 punktów. Z epizodu „Strategii dla Polski” płynie lekcja druga.

LEKCJA DRUGA

Jedynie dobra kombinacja dwu polityk – polityki zmian systemowych, z jednej, oraz polityki rozwojowej ukierunkowanej na akumulację kapitału i jego efektywną alokację, z drugiej strony – daje szansę na szybki wzrost gospodarczy. Zaniedbywanie któregokolwiek z tych komponentów nie może przynieść dobrych rezultatów. Poza Polską dobitnie dowodzi tego w sensie negatywnym przypadek Rosji, a pozytywnym Chiny.

3. Okres przechłodzenia gospodarki w latach 1998-2001. Faktycznie można mówić wręcz o „zarżnięciu” koniunktury (ang. *overkilling*), wskutek czego sprowadzono tempo wzrostu z ponad 7 procent w końcowych kwartałach realizacji „Strategii dla Polski” do stagnacyjnego wskaźnika 0,2 procent w IV kwartale 2001 roku. Stało się to w wyniku doktrynalnego podejścia do polityki finansowej, którą postrzegano głównie instrumentalnie, jako narzędzie sprowadzania inflacji w dół i redukowania skali deficytu na rachunku obrotów bieżących. Polityka taka nie mogła przynieść zakładanych efektów stabilizacyjnych, a musiała spowodować destrukcję w sferze realnej, hamując wzrost

gospodarczy i pociągając za sobą dodatkowe narastanie bezrobocia. Stąd też płynie trzecia lekcja.

LEKCJA TRZECIA

W polityce ekonomicznej szczególnie mści się – poprzez podnoszenie społecznych kosztów rozwoju i zmniejszanie jego potencjalnie możliwej do osiągnięcia skali – mylenie środków z celami. Grzechem nie tylko niektórych okresów w polskiej polityce minionych lat, ale zjawiskiem jakże częstym we współczesnym świecie (łącznie z błędami w radach i, co gorsza, praktykach Międzynarodowego Funduszu Walutowego) jest utożsamianie środków polityki z jej celami. Gloryfikacja środków prowadzi niekiedy do wręcz uznawania ich za nadrzędne cele, tak jak w Polsce w końcu lat 90., co pociągnęło za sobą stagnację gospodarczą. I to pomimo postępów osiągniętych w sferze budowy instytucji, prywatyzacji i dalszego otwierania gospodarki na zewnątrz.

4. **Powrót na ścieżkę szybkiego wzrostu i integracja z Unią Europejską w latach 2002-04** to czwarty okres, o odmiennej od poprzednich charakterystyce oraz dynamice zmian systemowych i realnych. Kluczową rolę w tym czasie odgrywały dwa wątki programowe, a mianowicie próba głębokiej zmiany systemu finansów publicznych poprzez dostosowanie go do możliwości państwa i wymogów nowoczesnej gospodarki rynkowej z jednej strony, oraz integracja z Unią Europejską z drugiej. Kluczowym dokumentem programowym w tym przypadku był „Program Naprawy Finansów Rzeczypospolitej”, który zarówno głęboką przebudowę systemu finansów publicznych, jak i proces przystępowania do Unii Europejskiej traktuje instrumentalnie. Celem było przywrócenie gospodarce zdolności do szybkiego rozwoju, co się udało. Tempo wzrostu PKB skoczyło szybko z 0,5 procent na początku 2002 roku do 6,5 procent w pierwszej połowie roku 2004.

Tak więc widzimy, że **sukces polskiej transformacji lat 1989-2004 to swoisty przekładaniec upadków i wzlotów**. Szczególnie marne efekty w sferze zarówno realnej, jak i finansowej w końcu lat 90. muszą na tym tle zastanawiać. Mógł przecież trwać boom z lat 1994-97, okresu realizacji „Strategii dla Polski”, ale tak się nie stało. Z innej perspektywy patrząc widzimy, że po niepotrzebnym i szkodliwym przechłodzeniu gospodarki w latach 1998-2001 ekonomiczna mizéria tamtych lat mogła trwać nadal, ale nie tak się działo.

Od czego zatem zależą tak głębokie zmiany w dynamice rozwojowej? Nie było przecież żadnych znaczących szoków zewnętrznych pociągających za sobą a to wielkie przyspieszenie lat 1994-97, a to wielkie zwolnienie lat 1998-2001. Wpływ kryzysu rosyjskiego z lat 1998-2001 na polską gospodarkę był wielokrotnie mniejszy, niż głosiła to ówczesna propaganda krajowa i zagraniczna (a reminiscencje tego jeszcze dają się zauważyć), później zaś nie było żadnego (tym razem pozytywnego) szoku zewnętrznego dynamizującego gospodarkę. W istocie to w czterolecie 1994-97 stan rosyjskiej gospodarki był dużo gorszy aniżeli podczas czterolecia 1998-2001, ale nikt odpowiedzialny nie próbował zasłaniać się wtedy takim „argumentem”, usprawiedliwiając się, że nie jest jeszcze lepiej. Z kolei w latach 1998-2001 było co przysłańać, mianowicie wspomniane **błędy polityki gospodarczej**. Z tych obserwacji wynika kolejna konkluzja.

LEKCJA CZWARTA

Podczas wielkiej systemowej zmiany – liberalizacji i otwarcia na zewnątrz oraz integracji z globalnym układem gospodarczym – fundamentalne znaczenie ma budowa

instytucji, czyli nowych reguł rynkowej gry ekonomicznej i jej prawnych oraz organizacyjnych ram. Ale liczy się także polityka. Coraz lepsze instytucje nie oznaczają – a z pewnością nie jest tak na krótką metę – coraz lepszej polityki. Ta może być, niestety, coraz gorsza, gdyż zależy także od czegoś innego. Od panującej doktryny ekonomicznej, od dominującego układu politycznego, od umiejętności (lub ich niedostatku) sprawujących stery polityki ekonomicznej. Tak więc liczą się instytucje, ale liczy się także polityka.

W Polsce właśnie to się przytrafiło, że pomimo ewidentnego postępu instytucjonalnego – także związanego z procesem integracji z Unią Europejską – w tym samym czasie psuciu ulegała polityka gospodarcza. Szczególnie wiele pozostawiała do życzenia zła koordynacja polityki fiskalnej z monetarną oraz przemysłowej z handlową. Udało się to po części przerwać dopiero od połowy 2002 roku. Nic przeto dziwnego, że zaraz potem gospodarka raz jeszcze weszła na ścieżkę szybszego wzrostu. Utrzymywać na niej jednak bynajmniej automatycznie się nie będzie, gdyż to zależy właśnie od jakości polityki gospodarczej. A pojawiają się tu nowe błędy i zagrożenia. W obecnej fazie rozwoju jednym z nich jest nadmierne liczenie na cudze środki – publiczne z budżetu Unii Europejskiej i prywatne od inwestorów portfelowych i bezpośrednich.

Trudno o przykłady sukcesów gospodarczych opartych o inwestowanie cudzych oszczędności. Inwestycje zagraniczne – zwłaszcza bezpośrednie, które we współczesnym świecie i globalnej gospodarce są podstawowym kanałem transferu nowoczesnych technologii, a także czynnikiem poprawy jakości zarządzania firmami i ich umiejętności marketingowych oraz kształtowania proeksportowej struktury gospodarki – tylko w kilku specyficznych przypadkach odegrały istotną (choć też nie kluczową) rolę w finansowaniu ekspansji gospodarczej i rozwoju. Tak było na przykład w Irlandii, która umiejętnie skorzystała ze znaczącego strumienia inwestycji płynących głównie od własnej diaspory z USA. Bezpośrednie inwestycje zagraniczne odegrały także istotną rolę w przyspieszonym rozwoju południowo-wschodnich rejonów Chin. Zasadniczo jednak **inwestycje zagraniczne odgrywają tylko uzupełniającą wobec krajowych oszczędności rolę**. Można na dopływ zagranicznego kapitału liczyć, ale nie należy się w tych szacunkach przeliczyć. I to jest kolejna nauczka, jaka płynie z doświadczeń Polski posocjalistycznej – dla niej samej i dla innych „wyłaniających się rynków”.

LEKCJA PIĄTA

Zasadniczym źródłem finansowania rozwoju we wszystkich typach tzw. gospodarek wschodzących (ang. emerging markets) pozostaje wewnętrzna akumulacja kapitału. Stąd też jego formowaniu musi być nadany niezbędny priorytet w polityce makroekonomicznej i w systemie zachęt na szczeblu mikroekonomicznym. W szczególności ważne jest odpowiednie konstruowanie polityki finansowej – zarówno fiskalnej, jak i monetarnej – gdyż ma ona istotne znaczenie dla kształtowania się krańcowej skłonności do oszczędzania, a w rezultacie fundamentalny wpływ na ogólną stopę akumulacji kapitału oraz poziom i dynamikę inwestycji. Na innych można liczyć co najwyżej umiarkowanie. Liczyć trzeba przede wszystkim na siebie.

Konstatacja ta bynajmniej nie oznacza, że nie należy czynić starań o pozyskanie jak największej ilości kapitału zagranicznego (albo – jak poprawniej należałoby powiedzieć w dobie globalizacji – kapitału pochodzącego z innych części coraz bardziej zintegrowanej gospodarki światowej), choć nie za każdą cenę. Polskie (i nie tylko) doświadczenie pokazuje dobitnie, że niewłaściwe regulowanie dopływu obcego kapitału może pociągać za sobą zbyt duże od niego uzależnienie (zwłaszcza w sektorze usług

finansowych), co nie zawsze jest korzystne dla długofalowego rozwoju. W rezultacie powstać może taki stopień uzależnienia, który określany bywa jako „kapitalizm uzależniony” (ang. *dependent capitalism*).

Polska – i pod tym względem jest ona jednym z niewielu przypadków na świecie – uzyskała **olbrzymi zastrzyk zewnętrznego kapitału w bardzo trudnym, newralgicznym wręcz dla powodzenia rynkowej transformacji okresie**. *Differentia specifica* tego dopływu polega na tym, że było to w istocie zapobieżenie nieuniknionego w alternatywnej sytuacji dotkliwego odpływu kapitału. A to z tytułu skądinąd naturalnej konieczności spłaty dużego długu zagranicznego. Jednakże ze względów politycznych połowa zagranicznego długu – na określonych, twardych warunkach, które Polska spełniła – została anulowana. Mało jest takich przypadków w świecie.

Mieć wszakże trzeba nadzieję, że będzie ich więcej. **I kraje biedne powinny konsekwentnie ubiegać się o umorzenie niespłacalnej części (niekiedy całości) swego zadłużenia wobec krajów bogatych**. Aż do skutku, bo to nastąpić musi. Tylko brak roztropności, chciwość i krótkowzroczność tych drugich powodują, że do tego jeszcze nie doszło. Gdy zaś już dojdzie, bardziej wartkim strumieniem będzie płynął do tych gospodarek kapitał z bardziej rozwiniętych gospodarek.

Jednakże – co trzeba podkreślić – polska lekcja uczy i tego, że umorzenie długu musi być powiązane z sensownymi reformami strukturalnymi, ograniczeniem korupcji i sprawną polityką makroekonomiczną. Redukcja długu czasami jest po prostu nieuchronna, jeśli jakiś kraj i tak nigdy nie będzie w stanie spłacić swych długów zewnętrznych. Sens ekonomiczny ma ona jednak tylko wówczas, gdy usuwane są zarówno skutki wcześniejszych błędów w polityce ekonomicznej (nadmierne zadłużenie), jak i ich źródła (wadliwa polityka powodująca zadłużanie).

Politycy wszystkich krajów połączyli się. Nie robotnicy – jak ktoś kiedyś chciał – a politycy właśnie. Przynajmniej pod względem zrzucania odpowiedzialności za własne błędy na innych, w tym – co ciekawe – na inne kraje i **ich** rządy. Zaobserwować to można w krajach najbogatszych, poczynając od potężnych Stanach Zjednoczonych, gdzie – według rządzących – za strukturalny przeciw deficyt handlowy odpowiedzialne są ...Chiny i ich polityka sztywnego kursu yuana, skądinąd związanego nie zmienianym od lat kursem z amerykańskim z dolarem. Widać to także w krajach najbiedniejszych, na przykład w Mali, gdzie źródeł piętrzących się trudności dopatruje się (tym razem nie bez powodu) w dyskryminacyjnych praktykach handlowych silniejszych partnerów z rozwiniętych części świata, którzy wspierając subsydiami swoich farmerów (i wyborców), tłamszą ceny bawełny – surowca o podstawowym znaczeniu dla wielu krajów usiłujących wyrwać się z zaklętego kręgu ubóstwa.

Nie inaczej jest w krajach posocjalistycznej transformacji, w tym w Polsce. Takie **obarczanie innych winą za własne kłopoty jest o tyle jeszcze łatwiejsze, że zdecydowanie większe niż w przeszłości są powiązania technologiczne, handlowe, i finansowe pomiędzy różnymi gospodarkami narodowymi**. Łatwiej więc (a przynajmniej tak wydaje się tym, którzy takimi praktykami się parają) spychać odpowiedzialność za skutki własnej nieudolności na „obcych”, na „zagranicę”. W Polsce występowało to bardzo silnie w następstwie polityki przechłodzenia koniunktury po 1998 roku, z których to błędów próbowano tłumaczyć się ...kryzysem w Rosji, na którego skutki polska gospodarka była wyeksponowana w minimalnym stopniu, a to ze względu na marginesowe znaczenie handlu z tym krajem.

Później – a tak będzie także w następnych latach – winą za rozmaite dotkliwości, których przeciw nie brakuje, obarcza się integrację z Unią Europejską, która w oczywisty sposób więcej daje nowym krajom członkowskim niż od nich w zamian dostaje. Uwaga ta bynajmniej nie oznacza, że kraje posocjalistyczne nie mogły uzyskać z procesu integracji więcej mniejszym kosztem. Niestety, nie potrafiły tej szansy w odpowiedniej

fazie negocjacji akcesyjnych wykorzystać, zbyt wcześnie przystając *de facto* na podyktowane interesami starych krajów członkowskich warunki. Wnioski z tego wyciągnąć powinny dla siebie państwa ubiegające się o przystąpienie do UE w przyszłości – Bułgaria, Chorwacja, Macedonia, Rumunia, a także Turcja.

Jakie zaś z tego wszystkiego płyną lekcje ogólne? Otóż takie, że **globalizacja – a jest ona nieuchronna, to fakt obiektywny – stwarza gospodarkom narodowym dodatkowe, nowe możliwości i szanse, ale przynosi też dodatkowe ryzyko i zagrożenia**. Jedno idzie w parze z drugim. W parze, co nie oznacza, że w proporcji 1:1. Dodatkowych korzyści (a więc takich korzyści, które nie pojawiłyby się, gdyby nie globalizacja) może być więcej niż dodatkowych kosztów. Ale może też być odwrotnie. Rzecz przeto w tym, aby umieć te zależności w strategii narodowego rozwoju społeczno-gospodarczego umiejętnie wykorzystać.

I to jest kolejna lekcja dla wszystkich wyłaniających się i otwierających na szerokie kontakty zewnętrzne gospodarek z wszystkich części coraz bardziej współzależnego świata.

LEKCJA SZÓSTA

Globalizacja wszystkim stwarza dodatkowe szanse rozwojowe i dodatkowe dla tegoż rozwoju zagrożenia. Sztuka polityki ekonomicznej we współczesnym świecie polega zatem na właściwym rozgrywania pojawiających się w tych nowych warunkach dylematów. Stosować trzeba regułę mini-max, czyli w tym samym czasie trzeba starać się minimalizować zagrożenia i maksymalizować szanse, a dokładniej – redukować koszty nieuchronnie towarzyszące udziałowi w globalnej grze ekonomicznej i zwiększać czerpane stąd korzyści.

Polski przypadek jest tu nader ilustratywny. Uzyskanie redukcji połowy zagranicznego zadłużenia, strukturalny zwrot w geografii obrotów handlu zagranicznego w stronę żywszych kontaktów z najwyżej rozwiniętymi gospodarkami zasobnymi w wolne kapitały (potencjalna alokacja w Polsce) i nowoczesne technologie (możliwości ich absorpcji), dopływ znacznego strumienia bezpośrednich inwestycji zagranicznych wspomagających pożądaną restrukturyzację mikroekonomiczną i podnoszących konkurencyjność firm na arenie światowej, no i wreszcie integracja z Unią Europejską – to tylko najważniejsze korzyści, które Polska umiejętnie czerpie.

To zaś, że w niektórych okresach swego szerokiego otwierania się na świat **Polska sownie zapłaciła za niekontrolowany dopływ krótkoterminowego kapitału spekulacyjnego** zaiste było (i jest) dodatkowym kosztem. Szkoda tylko, że jest on tak dotkliwy, ale winę za to ponosi nie globalizacja czy też z natury przecież żarłoczny (a z definicji „spekulacyjny”!) kapitał, ale **błędna polityka banku centralnego**, zarówno w odniesieniu do gospodarowania rezerwami, jak i zwłaszcza w zakresie kształtowania stóp procentowych. NBP poprzez fatalną politykę wewnętrznych stóp procentowych tak wpływa na ich dyferencjację w skali międzynarodowej, że wręcz zaprasza ten obcy kapitał spekulacyjny do hasania w Polsce. Pociąga to za sobą miliardowe (w skali dolarowej) koszty, których można by uniknąć. Przecież są kraje, które to potrafią, czyniąc to na różne sposoby, na przykład Chile czy Malezja, nie wspominając już o Chinach i Indiach. **Uczyć się z polskiego doświadczenia można zatem nie tylko tego, co czynić warto i trzeba, ale również i tego, czego czynić nie należy**. Najlepiej unikać błędów, które ktoś kiedyś gdzieś już popełnił. Na przykład w Polsce na początku i ponownie na końcu lat 90.

Pogranicze gospodarki i polityki w polskich wielkich zmianach przełomu wieków XX i XI daje nam wszystkim również kilka co najmniej lekcji. Tę szkołę przejść muszą

wszyscy doświadczając tych związków na własnej skórze. Brakiem rozważli wszakże byłoby nie przypatrywanie się doświadczeniom cudzym. Polacy też bardzo wiele nauczyli się z przeanalizowania innych „ciekawych przypadków” (no, może nie aż tak jak ten najciekawszy z wszystkich, polski...), choć dobrze byłoby, gdyby niektórzy współodpowiedzialni za sterowanie nawą państwową nauczyli się jeszcze więcej. W szczególności każdy z czterech wspomnianych etapów polskiej transformacji lat 1989-2004 dowodzi, że dla odniesienia sukcesu gospodarczego **niezbędna jest zdolność kojarzenia podejścia technokratycznego ze społecznym.**

Polityka gospodarcza wymaga profesjonalizmu. Kiedy „wszystko zależy od wszystkiego” fachowa odpowiedź na pytanie, co od czego tak naprawdę zależy w masie całej konkretnych przypadków, jest bardzo trudna. To trzeba rozumieć, dysponując ogromną wiedzą zawodową i technokratycznymi umiejętnościami kierowanie wielkimi zasobami i strumieniami kapitałowymi.

Ale to nie dosyć. Gospodarka to nie tylko zasoby i strumienie finansowe i rzeczowe. To także – a nawet przede wszystkim – kapitał społeczny i ludzie oraz łączące ich (albo akurat dzielące) relacje. W polityce gospodarczej nie wystarczy „mieć racji” w sensie technokratycznym. Trzeba ją jeszcze mieć w sensie społecznym. Wkładanie się przeto w aktywność polityczną na polu gospodarczym nieuchronnie pociągać za sobą musi angażowanie się także w sferę stosunków społecznych. Przede wszystkim tych, które rodzą się na płaszczyźnie interakcji ekonomicznych. **Podstawowe grupy społeczeństwa muszą ogólnie rozumieć, o co w polityce gospodarczej – finansowej, przemysłowej, handlowej, regionalnej, inwestycyjnej – rządowi chodzi.** W ślad za tym powinny one jeśli nie aktywnie wspierać działania służące urzeczywistnieniu linii programowej rządu, to przynajmniej biernie przyzwalać na jej realizację. W innym przypadku politycy – jako technokraci – mogą mieć rację (na przykład dążąc do zmniejszenia skali ulg podatkowych albo weryfikując system transferów socjalnych), ale społeczeństwo odrzucając ich pomysły też tę rację może mieć. No, a kiedy i jedni, i drudzy „mają rację”, to my wszyscy mamy sytuację konfliktogenną. Jeśli zaś dalej i jedni, i drudzy upierają się przy swoim, to przeradza się to w otwarty konflikt społeczny i polityczny.

LEKCJA SIÓDMA

Polityka ekonomiczna jest jednocześnie przedsięwzięciem technokratycznym i społecznym. Lekceważenie któregokolwiek z tych dwu aspektów aktywności publicznej automatycznie osłabia efektywność uprawianej polityki. Nie tylko wąskie kręgi fachowców muszą wiedzieć, co i jak należy czynić, ale wiedzieć o tym muszą także szerokie kręgi społeczeństwa, choć jest to inna już wiedza. Najlepsze skutki w polityce gospodarczej daje zatem umiejętne łączenie inżynierii finansowej z inżynierią społeczną, technokratycznego zarządzania makroekonomicznego z autentycznym dialogiem społecznym, zawodowego pragmatyzmu z wrażliwością społeczną.

Minione 15 lat polskiej transformacji rynkowej poprzez przemienność okresów „wzlotów i upadków” dobitnie dowodzi, że w gospodarce działa się lepiej wtedy, kiedy takie kojarzenie tych dwu podejść było konsekwentnie stosowane. Gdy natomiast go nie starczało, to efektywność polityki gospodarczej była daleko mniejsza. Czym ją mierzyć? Otóż – jak uczy jedna z naszych lekcji przestrzegająca przed myleniem środków z celami – dynamiką społeczno-gospodarczą, tempem zrównoważonego finansowo, ekonomicznie, społecznie i ekologicznie wzrostu. Kiedy lekcje te były dobrze „odrabiane”, to i wzrost był szybszy; i na odwrót. Najwięcej zatem z tych doświadczeń nauczyła się, co oczywiste, sama Polska, choć – niestety – nie wszyscy. Nieuków bowiem w polityce –

tak jak w szkole – też nie brakuje. I jeśli zaiste polska transformacja w dużej mierze jest sukcesem, to z pewnością żadnego polskiego cudu nie było. No bo cudów nie ma. Nawet w Polsce.

(...)